

Wojenka

O DZIECIACH,
KTÓRE DOROŚŁY
BEZ OSTRZEŻENIA

MAGDALENA
GRZEBĄŁKOWSKA



Wojenka

Redakcja: Daniel Lis, Paweł Goźliński
Korekta: Danuta Sabala
Projekt graficzny okładki: Krzysztof Iwański
Opracowanie graficzne makiety: Elżbieta Wastkowska
Skład: Maciej Trzebiecki
Fotoedycja: Waldemar Gorlewski
Przygotowanie zdjęć do druku: Paweł Bajer
Konsultacja merytoryczna: Jan Daniluk, Dmitriy Panto
Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



**Wydawnictwo
Agora**

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

© copyright by Agora SA, 2021
© copyright by Magdalena Grzebałkowska, 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2021

eISBN: 978-83-268-3681-7

prawolubni[♥]

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

[Kup książkę](#)

Wojenka

O DZIECIACH,
KTÓRE DORÓŚŁY
BEZ OSTRZEŻENIA

**MAGDALENA
GRZEBĄŁKOWSKA**



[Kup książkę](#)

*Tosi, Małgosi, Patrycji, Aryanowi,
Andrzejowi, Mai, Zosi, Maksowi,
Zuzi, Adamowi, Oliwce, Yuli, Gai,
Annie i Joannie, Lenie, Zoe, Nadii, Niko
i wszystkim innym dzieciom*

*Oto cały kłopot z literaturą faktu.
Trzeba odłożyć na bok to, co wszyscy
już wiemy – co wiemy teraz
– i starać się towarzyszyć moim
dwojgu niewiniątkom w świecie takim,
jakim go widzieli.*

Erik Larson, „W ogrodzie bestii”

SPIS TREŚCI

	WSTĘP	11
WOLNE MIASTO GDAŃSK	LEGENDA O ARTHURZE	16
GUŁAG	ŻYCIE ROŚLIN	44
GENERALNE GUBERNATORSTWO	<i>KINDERSZENEN</i>	92
SYBERIA	ELEMENTARZ ZESŁAŃCA	136
STANY ZJEDNOCZONE	<i>SHIKATA GA NAI</i>	164
HISZPANIA	Z WIZYTĄ U RADZIECKIEGO WĄSATEGO KRÓLA	200
GENERALNE GUBERNATORSTWO	WARSZAWSKIE DZIECI	242
GENERALNE GUBERNATORSTWO	CZEGO OLEK NIE WIE	294
FRONT WSCHODNI	WSZYSTKO CACY	328
KARŁAG	KSIĘGA ŻYWOTÓW DINY	366
PRUSY WSCHODNIE	<i>MISCHLING</i>	396
GENERALNE GUBERNATORSTWO	MAJTKI Z KOCA	428
	PODZIĘKOWANIA	456
	ŹRÓDŁA RYSUNKÓW I FOTOGRAFII	458
	PRZYPISY	460
	BIBLIOGRAFIA	467
	INDEKS	473

WSTĘP

11

Chłopcy i dziewczęta gorliwie myją uszy i czyszczą paznokcie. W drewnianych, podłużnych piórnikach układają gumki do ścierania, zatemperowane ołówki, obsadki ze stalówkami. Kolejny raz przymierzają przed lustrem teczek, w których będą nosić podręczniki.

Jest ostatni dzień sierpnia 1939 roku, nazajutrz rozpoczyna się nowy rok szkolny.

Jeden z bohaterów tej książki wspominał: – Zamykam oczy i znów stoję w kuchni. Mam na sobie granatowe spodenki, marynarkę i kołnierzyk à la Słowacki wyłożony na wierzch, jest już 1 września. Nagle mama mówi: „Słuchaj, coś się dzieje w kraju, jest specjalny komunikat prezydenta o wojnie”. Zaraz po nim ktoś przemawia, że z uwagi na napaść Niemców początek roku szkolnego zostaje przełożony na czas po zwycięskim zakończeniu wojny.

To niepokojąca, filmowa scena. Szkoda, że nie mogła się wydarzyć.

1 września 1939 roku przypadał w piątek. Wojciech Świętosławski, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, z wyprzedzeniem zarządził, że rok szkolny rozpocznie się

w poniedziałek, 4 września. Każdy uczeń II Rzeczypospolitej miał zacząć ten dzień uroczystym nabożeństwem szkolnym, a dzień później, o godzinie ósmej, przyjść na lekcje.

Jednak jeszcze pod koniec sierpnia „Kurier Warszawski” na siódmej stronie informował czytelników: „Ministerium W. R. i O. P. zawiadamia, że data rozpoczęcia roku szkolnego [...] ulega odroczeniu na kilka dni i będzie ustalona osobnym zarządzeniem”.

Rok szkolny 1939/1940 miał się nie zacząć już nigdy. Wybuchła wojna. Mimo to w zbiorowej pamięci Polaków obraz dzieci, którym Hitler właśnie tego dnia pokrzyżował plany, jest niezwykle wyraźny. Istnieją dziesiątki spisanych wspomnień i setki artykułów, w których świadkowie potwierdzają niemożliwe. Dlaczego? Kłamią? Zatajają prawdę? Czy zmyślają, nie mając świadomości, że to robią? Czy mam prawo im to powiedzieć? Ponad osiemdziesiąt lat później wytknąć, że się mylą?

To prawda uniwersalna, dotyczy każdego z moich bohaterów i nas samych – nasza historia zmienia się za każdym razem, gdy ją opowiadamy. Fakty są jedynie szkieletem, na który nawlekamy własne wersje zdarzeń.

Również o tym jest ta książka.

STERA KÖW DN 11.V.1946.



KL.VII.





LEGENDA O ARTHURZE

[Kup książkę](#)

Działo się to we wsi Glabitsch, całkiem niedaleko wsi Stutthof, na skraju Freie Stadt Danzig. Żył tam pewien pobożny ewangelik, który nazywał się Erich Pawlowski. Wybudował on dom z czerwonej cegły i pojął za żonę Margarete Gertz, drobną, ale zdrową kobietę.

A Bóg ich obdarzył szesnaściorgiem dzieci.

Pierwszy na świecie pojawił się Erich, imiennik ojca. Jego przeznaczeniem będzie śmierć na pancerniku „Scharnhorst”.

Drugi urodził się Hans, który umrze w zimnym szwedzkim morzu.

Trzecim synem był Kurt. Bóg pośle go z pancerfaustem na ramieniu przeciwko radzieckim czołgom.

W 1930 roku urodził się Arthur, czwarty z braci. Jemu los wyznaczył długie życie wśród obcych.

Pozostałe dzieci rodziły się jeszcze przez piętnaście lat po Arthurze. To Otto, Marga, Willy, Bruno, Erika, Gerda, Erwin, Albert. Było też czworo innych, których imion dzisiaj już nikt nie pamięta.

Erich Pawlowski nie miał swojej ziemi, więc nie mógł być rolnikiem, ani swojej łodzi – nie był też rybakiem. Pracował za to u miejscowego bauera i był przez niego szanowany, bo jak nikt potrafił przemienić mleko w śmietanę, masło i sery.

Naturę Erich miał nerwową, charakter – choleryczny. Choć mocnych trunków nie pijał, walił pięścią w stół, jeśli nie było na nim w porę obiadu, krzyczał, gdy dzieci wchodziły mu pod nogi. Arthur też wtedy krzyczał – ze strachu.

Raz do Pawłowskich przyjechali urzędnicy i zabrali pierwszych pięciu synów z sobą. Zamknęli ich w wielkich domach, gdzie były już inne dzieci, i podali im zatruty napój, od którego młodszy bracia zapomnieli rodziców i siebie nawzajem. A starszym zrobiło się wszystko jedno.

Syn Irycha

Sprzed wojny pozostało mu twarde „r”.

Ma też kłopoty z głoskami szeleszczącymi: „sześćset sześćdziesiąt sześć” – piekielnie trudno mu to wymówić.

Literę „e” na początku wyrazu „Erich” wymawia jak „i”. Pewnie dlatego w polskim dowodzie osobistym wpisano mu po wojnie, że jest synem „Irycha”. Wtedy też zabrano mu „h” z imienia, a w nazwisku dorobiono kreskę biegnącą ku górze przy literze „l”.

Od siedmiu dekad Arthur Pawłowski jest więc Arturem Pawłowskim.

Mówi: – Zanim się odezwę, ludzie biorą mnie za Polaka. Powiem słowo, od razu mówią: „Pan jesteś Niemiec”. „Gdańszczanin” – ja im na to odpowiadam.

Istnieją trzy wersje.

Erich i Margarete sami oddają swoich synów na chwałę Rzeszy. Chcą, żeby ich chłopcy wyrosli na dumnych nazistów. Pawłowscy, choć nazwisko mają polsko brzmiące, czują się Gdańszczanami o niemieckich korzeniach. Akurat jest rok 1933, Adolf Hitler zdobył władzę w Niemczech, popiera go także większość niemiecka w Wolnym Mieście Gdańsku, która chciałaby powrotu ziem będących pod protektorem Ligi Narodów do Rzeszy.

W wersji drugiej urzędnicy odbierają Pawłowskiemu dzieci siłą, by przekształcić je w wierne narzędzia ideologii nazistowskiej.

W trzeciej – Erich, Hans, Kurt, Arthur i Otto trafiają z Glabitsch do gdańskich domów dziecka, bo są przez swoich rodziców zaniebdywani.

Która z wersji jest prawdziwa? Tego nie wiadomo.

Legendy część druga

Zamieszkał trzyletni Arthur w sierocińcu w mieście Danzig. Kiedy pytał opiekunów o mamę i tatę, gniewali się na niego.

– Oni nie żyją – mówili, marszcząc brwi. – Jesteś sierotą! – dawali.

Mało wiele minęło, gdy chłopiec uwierzył, że taka jest prawda.

Z pamięci Arthura uciekli trzej starsi bracia, których urzędnicy zawieźli do innego sierocińca. Nie poznawał też Ottona, młodszego o rok braciszka, choć mieszkał z nim w jednym domu. Byli sobie jak obcy.

W Wielkanoc w ogrodzie sierocińca zając pochował kolorowe jajka. Arthur wraz z innymi dziećmi szukał ich ukrytych w trawie. Będzie to najśłodszym wspomnieniem z dzieciństwa Pawłowskiego.

Rok później, gdy chłopiec ukończył cztery lata, przeszedł pieszo przez Danzig i Langfuhr aż do dzielnicy Oliva. Szły z nim inne dzieci, starsi trzymali je za ręce. Kto nie miał już sił, bo droga była daleka, wsiadał na drewniany wózek, który silniejsi ciągnęli za dyszel. W końcu dotarli do Kinder- und Waisenhaus, który odąd miał być ich domem.

Tak to Arthur zapamiętał, a pamiętać miał niewiele.

Nie było wśród dzieci Ottona, młodszego brata Arthura – sierotę przygarnęło do siebie bezdzietne małżeństwo ze wsi Steegen.

Kinder- und Waisenhaus

Dwa klasycystyczne budynki zostają posadowione na łagodnym wzgórzu wśród lasów, przy Pelonkerweg 122 w Olivie, w pierwszej połowie XVII wieku.

Sto pięćdziesiąt lat później mieszka tu z rodzicami mały Arthur Schopenhauer. Z okien roztacza się wówczas „jeden z najbogatszych i najbardziej zachwycających widoków” na zatokę – notuje we wspomnieniach matka filozofa¹.

Po pół wieku w posiadłości powstaje zakład leczący wodą i szwedzką gimnastyką (koszt pobytu w przytulnych pokojach – siedem talarów tygodniowo).

W latach sześćdziesiątych XIX wieku posesję kupuje miasto Gdańsk i w budynkach dworu urządza ewangelicki Dom Dziecka i Sierot ze szkołą i warsztatami rzemieślniczymi do nauki zawodu. Mieszka tu zwykle około stu wychowanków, zarówno dziewczęta (noszą jednakowe czerwone sukienki), jak i chłopcy (niebieskie mundurki). Do sierocińca należą stawy, kilkadziesiąt akrów ziemi uprawnej, gospodarstwo i żwirownia.

W 1919 roku polonijna „Gazeta Gdańska” opisuje niespodziewaną inspekcję urzędniczą przy Pelonkerweg 122: „Cóż tam rewizorzy znaleźli? Dzieci blade i cierpiące skarżyły się, że dostają liche jedzenie. [...] A co dozorca dawał dzieciom jeść? Po dwa razy w tygodniu brukiew bez kartofli, suszone warzywo lub kapustę z kartoflami lub bez nich, a raz gęste krupy. [...] Ubranka sierót były czarne, cienkie i po części zdarte. Dzieci zabrudzone, bo mydła do mycia nie miały, za chustki służył rękaw lub fartuszek [...]. Sypialnia chłopców była niezmiernie brudna, a izba dozórczyni to istny chlew dla świń”².

Czteroletni sierota, wpisany do ksiąg pod nazwiskiem Arthur Pawłowski, zostaje wychowankiem Kinder- und Waisenhaus w Olivie piętnaście lat później. Ponieważ wojny nie przetrwają

żadne dokumenty związane z chłopcem, można jedynie zgadywać, że jest rok 1934 lub 1935. Dziewcząt już tu nie ma, narodowy socjalizm nakazuje rozdział płci w instytucjach edukacyjnych.

Od roku przebywają tutaj starsi bracia Arthura, ale on o tym nie wie.

Najmłodsze dzieci z sierocińca mieszkają na poddaszu – śpią na żelaznych łózkach zestawionych z sobą blisko. Z wiekiem schodzą na niższe piętra.

Rok 1939 zastaje dziewięcioletniego Arthura gdzieś pomiędzy parterem a drugim piętrem.

Jak wychować nowego Niemca

Adolf Hitler chce nowej pedagogiki. Uważa, że młodzież niemiecka wychowywana była do tej pory zbyt liberalnie: w duchu międzynarodowego socjalizmu, pacyfizmu i demokracji, za to w braku idei narodowej³. To należy zmienić. W swojej książce *Mein Kampf*, która jest biblią nazizmu, Führer podkreśla: „W słabości fizycznej leży niejednokrotnie źródło osobistego tchórzostwa”⁴.

Johanna Haarer, autorka wydanej w 1934 roku książki *Niemiecka matka i jej pierwsze dziecko*, poucza kobiety, że zachodzą w ciążę dla rodziny, narodu i rasy. Niemowlę ma się dostosować do obowiązujących zasad, a nie odwrotnie. Karmienie i przewijanie – pięć razy dziennie, kąpiel – raz dziennie. Jeśli dziecko ssie piąstki, należy mu przywiązać ręce. Płacze? Ignorować. Ono w ten sposób próbuje zdobyć władzę nad matką. (Poradnik Haarer, z nieco zmienioną treścią, będzie wydawany w Niemczech jeszcze wiele lat po wojnie).

Dwa lata później w Rzeszy powstaje Lebensborn – organizacja, która ma sprawować opiekę nad czystym rasowo potomstwem, wspieraniem niemieckich matek, pomocą w donoszeniu ciąży.

Ernst Krieck, główny pedagog hitlerowskich Niemiec, uważa, że najważniejszym celem wychowania jest stworzenie „sobie właściwymi metodami dydaktycznymi narodowosocjalistycznego człowieka”⁵. Niemiec przyszłości ma być podporządkowany i posłuszny wobec przywódców. Na pierwszym miejscu Krieck stawia sport i wychowanie fizyczne, które przygotowują chłopców do służby wojskowej, a dziewczęta do macierzyństwa.

Naukę należy ograniczyć do najistotniejszych zasad, unikać przeładowania szczegółami, wzmóc nauki humanistyczne, bo one o wiele bardziej potrzebne są duszy niemieckiej. W ciągu pierwszych czterech lat szkoły powszechnej dzieci należy rozmiłować w śpiewaniu piosenek narodowosocjalistycznego ruchu, związanych z marszem, wędrówką, żołnierzem i ojczyzną. Pieśni mają głęboko zapadać w świadomość i wywoływać „samorzutną chęć częstego śpiewania”⁶. Nauczyciele będą obowiązkowo doksztalcani z zasad narodowego socjalizmu, nauki o rasie i dziedziczności, prehistorii i folkloru niemieckiego.

W 1936 roku przestają istnieć w Niemczech wszelkie organizacje młodzieżowe. Pozostaje jedynie Hitlerjugend, założona już w 1922 roku młodzieżówka NSDAP. Dzieli się na cztery grupy – dwie dla chłopców: Deutsches Jungvolk (do czternastego roku życia) i Hitlerjugend (do pełnoletności) oraz dwie dla dziewcząt, odpowiednio: Jungmädelbund i Bund Deutscher Mädel⁷. Wyróżniających się członków organizacji należy wyłować i posłać do szkół zakonów, gdzie zostaną uformowani na przyszłych dowódców.

Proces wychowawczy nowego Niemca ma się zakończyć wraz z odbyciem przez niego obowiązkowej służby wojskowej. Uformowany człowiek otrzyma dyplom obywatelski i zaświadczenie lekarskie, które – pod warunkiem, że będzie zdrowy – upoważni go do zawarcia związku małżeńskiego.

Artur Pawłowski ma wątpliwości: – Nie jestem pewien, czy w sierocińcu z pełnym oddaniem stosowano się do zaleceń Hitlera. Nie wydaje mi się, żeby w naszym domu działał Jungvolk. Mógłbym zapomnieć mundury, leistungsbuchy [książeczki członków organizacji], marsze, śpiewy, próby, którym poddawano chłopców? Na pewno nie było u nas Hitlerjugend, bo wychowankowie opuszczali nasz sierociniec po ukończeniu czternastu lat.

Legendy część trzecia

Dnia 18 września roku 1939 rozniosła się wieść po sierocińcu, że nazajutrz do Danzig przyjedzie sam Adolf Hitler. Dzień jego wizyty ogłoszono świętem w całym mieście. Nakazano bić w dzwony, a wszystkim obywatelom – czekać z kwiatami w rękach wzdłuż trasy jego przejazdu już od godziny piętnastej.

Arthurowi i jego kolegom wychowawcy kazali wieczorem szczególnie dokładnie umyć uszy, szyje i stopy, na wypadek gdyby Führer miał życzenie zatrzymać auto i osobiście je obejrzeć.

Następnego dnia dwieście sierot – w wypastowanych butach, białych skarpetkach i jednakowych ubraniach – ustawiło się wzdłuż Adolf-Hitler-Strasse. Na miejsce dotarli, maszerując ze śpiewem na ustach.

Arthura bolały nogi, był głodny i chciało mu się pić, bo dzień był gorący, a od próbnych okrzyków zasychało w gardle. Nudził się trochę. Wiele razy już przeczytał napis na transparencie zawieszonym nad ulicą, między latarniami: „Oliva dankt dem Führer!” (Oliwa dziękuje Führerowi), i policzył czerwone sztandary z czarną swastyką wywieszone z okolicznych okien. Podziwiał kobiety wysypujące z wielkich koszy na szosę główki kwiatów, które



Wrzesień 1939 roku. „Gdańsk wita swojego Führera!”.

układały się w wielobarwne dywany, a Hitler wciąż nie nadjeżdżał. W końcu, o godzinie szesnastej z dwoma kwadransami, od strony Zoppot podniósł się szmer. Mężczyźni zaczęli krzyczeć, kobiety szlochać, każdy wyciągał prawą rękę przed siebie, jakby chciał dotknąć płaszcza Führera.

Arthur był drobnym chłopcem, stał więc w pierwszym rzędzie i mógłby przysiąc, że oko Hitlera spoczęło przez ułamek sekundy na jego wyszorowanej szyi, gdy władca świata mijał go w odkrytym samochodzie.

Scenki z życia wychowanka Pawlowskiego

I

Córka Gustava Froesego, dyrektora sierocińca, hoduje w ogrodzie króliki. Znosi im co dzień obierki ziemniaków, marchewkę, liście

sałaty. Kiedy nikt nie patrzy, wychowanek Pawlowski wyjada z króliczej klatki resztki warzyw.

Zupa mleczna jest rozwodniona. Chleb rozdzielany skąpo. Masło bywa rzadko. Mięso – tylko w święta.

Po szkole sieroty pracują w gospodarstwie sierocińca. Młodszy pielęgnają i kopczą warzywa, starsi obrządzają bydło. Podczas pracy w polu wychowanek Pawlowski podjada surowe buraki i wyskubuje żółte ziarna z kolb kukurydzy.

Przy Pelonkerweg 122 wszyscy są głodni.

– Jeśli nazbieracie dużo jagód i grzybów, będą dla was jutro na obiad – ogłasza chłopcom jeden z wychowawców. Sierociniec graniczy z lasem. Wczesnym popołudniem kosze są pełne.

Woźnica Kuczera ze wsi Quaschin, który jeździ dla sierocińca, wieczorem dla towarzystwa zabiera w drogę wychowanek Pawlowski. Jadą do Zoppot. Woźnica zatrzymuje się przed bogatymi domami w górnej części miasta.

– Tu mieszkają panowie z NSDAP – wyjaśnia chłopcu.

Arthur pomaga Kuczerze zdjąć towary z wozu i zanosić je do willi. Rozpoznaje kosze jagód i grzybów zebranych w lesie tego dnia rano. Dźwiga dzbanki ze śmietaną, sery zawinięte w płótno, masło w papierze.

– My chcemy jagód! My chcemy grzybów!

Wychowankowie sierocińca wychodzą na Pelonkerweg. Arthur Pawlowski powiedział im, gdzie znika ich jedzenie.

– My chcemy jagód! My chcemy grzybów!

Z gospody przy Pelonkerweg wychodzą ludzie i pytają chłopców, dlaczego tak krzyczą.

– Smakuje ci? – obcy człowiek zagląda do talerza wychowan-
ka Pawłowskiego. Arthur kiwa głową. Jest odświętnie ubrany
i obuty, choć to zwykły dzień. Wszyscy są dziś elegancy, a obiad
składa się z trzech dań. Jakby było Boże Narodzenie. W stołów-
ce panuje cisza, przerywana pytaniami panów z komisji. Trwa
kontrola w sierocińcu – ktoś doniósł kuratorowi, że dzieci tutaj
głodują.

– To dlaczego narzekacie, skoro takie smaczne? – pyta kon-
troler.

Nikt mu nie odpowiada. Na skarżypytę w gabinecie dyrektora
czeka giętka trzcina.

II

W olivskim Kinder- und Waisenhaus panuje dryl. Wedle życzenia
Führera.

Wychowanek Pawłowski wstaje o szóstej rano. Śniadanie dzie-
ci przygotowują sobie same. Pewnego dnia dziesięcioletni Arthur
wdrapuje się na blat, żeby sięgnąć do wiszącej szafki po ołowiane
kubki do kawy zbożowej. Szafka spada na chłopca, Arthur z roz-
bitą głową jedzie do szpitala.

Po śniadaniu lekcje. Szkoła jest w sąsiednim dworze. Wystarczy
przebiec między budynkami.

Dyrektorem szkoły jest herr Otto Gingeleit, młodszymi dziećmi zajmuje się frau Rosalie Jaskulski. Gustav Froese, dyrektor sierocińca, jest także nauczycielem.

Artur Pawłowski nie zachował w pamięci swojej szkoły. – Tak mi się zdaje, że uczono nas, czego trzeba. Jak się człowiek nie wychylał i był grzeczny, to miał spokój.

W 1941 roku w USA ukazuje się książka *Education for Death. The Making of the Nazi*. Autorem jest Gregor Ziemer, amerykański pedagog, pisarz i dziennikarz, który w latach 1928-1939 prowadził amerykańską szkołę w Berlinie. Udając fascynację pedagogiką nazistowską, uzyskał zgodę na zwiedzenie zakładów wychowawczych, szkół i instytucji kształtujących nowych Niemców. „Rozmawiałem z wieloma nauczycielami. [...] Byli nasiąknięci jedną i tylko jedną ideą: sprawić, żeby chłopiec myślał, czuł i działał jak prawdziwy nazista” – pisze Ziemer po powrocie do Stanów⁸.

Opisuje wizytę w klasie chłopców należących do Jungvolku: „Podniosły się wszystkie ręce. Chrapliwe »Heil Hitler!« zatrzęsło oknami. Nauczyciel stał na baczność, stuknął obcasami i warknął majestatycznie »Heil Hitler, Sieg Heil!«”⁹.

W Hamburgu uczestniczy w lekcji Rassenkunde (nauka o rasie), prowadzonej wśród starszych uczniów. Notuje skierowane do chłopców ostrzeżenie nauczyciela przed relacjami seksualnymi z dziewczętami, które nie mają czystego pochodzenia aryjskiego. Stosunek płciowy z Aryjką jest sankcjonowany przez Partię. Wszystko inne jest uznawane za marnowanie germańskiej potencji. „Francja osłabia swoją rasę przez mieszanie się z czarnymi żołnierzami w swoich koloniach; Rosja zanieczyszcza się żółtą rasą; Czechosłowacja popełnia cudzołóstwo z Cyganami; Anglia z Żydami”¹⁰.

Książka Ziemera staje się bestsellerem. W 1943 roku na ekrany amerykańskich kin wchodzi dwa filmy – fabularny dramat *Hitler's Children* w reżyserii Edwarda Dmytryka i animowany *Education for Death* wytwórni Walta Disneya – oba nakręcone na podstawie książki.

Tygodnik „Life” zamieszcza recenzję *Hitler's Children*: „Niektóre ze scen spowodują, że widzom będzie się chciało wymiotować na ekran. Jest to współczesny horror o tym, jak niemieckie dzieci są naukowo formowane w nienawidzących wolności, podążających ślepo za przywódcą nazistów”¹¹.

Po lekcjach musztra. Wychowanek Pawłowski staje na baczność, maszeruje równym krokiem, pada na ziemię, błyskawicznie formuje z kolegami dwuszereg.

Wolny czas w sierocińcu nie istnieje. Młodsze dzieci wyrrywają zielsko na polu i zbierają ziemniaki, starsze karmią świnię, doją krowy, czyszczą konie. W wyznaczone dni dyżurni pomagają dwóm kobietom w maglu.

W sąsiedztwie sierocińca jest dom starców. Wychowankowie odwiedzają pensjonariuszy. Arthur lubi tam bywać, pomaga sprzątać pokój dwóch kobiet. Później zwykle skrada się na strych i myszkuje wśród starych kufrów.

Gimnastyki, ulubionej formy ruchu nazistów, Artur Pawłowski nie będzie umiał sobie przypomnieć. Wspomina: – W spodenkach gimnastycznych i podkoszulkach zapędzano nas na ogrodzony plac i pozostawiano samym sobie, o każdej porze roku. Pilnował nas jeden wychowawca. Marzliśmy. Od wiosny do późnej jesieni chodziliśmy boso. Buty wkładaliśmy tylko do miasta.

Wulf Meimerstorff, inspektor sierocińca, na obrzeżach Olivy stawia domek jednorodzinny. Wychowankowie kopią dół pod fundamenty, noszą cegły i deski, mieszają zaprawę.

III

Codziennie z głośników zawieszonych w sierocińcu płyną marsze, patriotyczne pieśni, jak *Horst Wessel Lied*, i przemówienia Adolfa Hitlera. Arthur Pawłowski o wojnie wie tyle, ile dowie się w szkole. A przekaz jest jasny: Rzesza wkrótce będzie panowała nad całym światem. To kwestia czasu.

Innych źródeł informacji nie ma. Wychowankom nie wolno rozmawiać z nikim obcym na ulicy.

Wojna mnoży sieroty. W Kinder- und Waisenhaus między łózkami wychowanków trzeba porobić mniejsze odstępki, mieszka tu teraz dwieście pięćdziesięcioro dzieci (taką liczbę zapamięta Artur Pawłowski).

Każdy chłopiec trzyma pod łóżkiem maskę przeciwgazową. Kiedy nocą rozlega się próbny alarm ogłaszany przez wychowawców, Arthur z kolegami zbiega do piwnicy sierocińca. Po drodze naciąga na twarz sztywną zielonkawą gumę maski. Siedzą potem przez pewien czas wśród stert buraków i kartofli przeznaczonych do stołówki.

Nauczyciele i wychowawcy w wieku poborowym idą na front. Zastępują ich mężczyźni wyreklamowani od wojska oraz kobiety.

Znika także strażnik, który otwierał bramę. Na jego miejsce trafia mężczyzna, który stracił w czasie walk nogę.

List

„Jestem sierotą, mam czternaście lat. Wkrótce wychodzę z sierocińca i nikt nie chce mi nic powiedzieć. Żebym to ja nie znał swoich rodziców? Nie wiem, jaką mieli śmierć. Wypadek był czy choroba? Jeśli pan kurator coś wie, proszę o informację” – w 1944 roku Arthur Pawłowski pisze list do urzędu (treść się nie zachowała, ale Artur Pawłowski spróbował go sobie dla mnie przypomnieć).

Korespondencja podopiecznych sierocińca przechodzi przez cenzurę wychowawców. Arthur wie, że nikt nie pozwoliłby mu na kontakt z kuratorem. Jeśli wychowanek ma jakieś pytania, powinien zadać je opiekunom. A na pytania Pawłowskiego o rodziców odpowiadali już wielokrotnie: – Nie żyją.

List pomagają więc chłopcu wysłać zaprzyjaźnione pensjonariuszki domu starców. Zresztą to one namówiły Arthura, żeby zwrócił się do urzędu po informacje.

To ważny rok w życiu wychowanka Pawłowskiego. W kwietniu przystąpił do konfirmacji w olivskim kościele. Za kilka miesięcy, kiedy tylko skończy szkołę, będzie musiał odejść z Kinder- und Waisenhaus.

Podopieczni sierocińca po ukończeniu czternastego roku życia trafiają do nauki zawodu. Arthur może wybrać między pracą u rzeźnika lub piekarza.

Wybiera piekarnię. Jest chudy i niewysoki, często marznie, woli więc spędzić życie wśród rozgrzanych pieców niż w chłodni z mięsem.

Starsi bracia Arthura opuścili już sierociniec.

Erich, najstarszy, w grudniu 1943 roku zginął na pancerniku „Scharnhorst”, podczas operacji Ostfront w rejonie północnej Norwegii. Pancernik, zbombardowany przez okręty wroga, poszedł na dno wieczorem drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia. Wraz z Erichem zatонуło tysiąc dziewięciuset trzydziestu jeden członków załogi. Ocalało trzydziestu sześciu.

Drugi brat, Hans, został wcielony do jednostki podwodnej. Zginął gdzieś w okolicach Szwecji. Tylko tyle Artur dowie się o nim po wielu latach.

Kurt, starszy o rok, jest uczniem u rzeźnika w Danzigu. Czas dzieli między pracę i obowiązkowe zajęcia w Hitlerjugend. W czasie wojny młodzież Führera jest szkolona do walki na froncie.

Dyrektor Gustav Froese wzywa do gabinetu wychowanka Pawłowski. Do sierocińca zadzwonił dziś kurator, oburzony niesubordynacją podopiecznego z Kinder- und Waisenhaus. Od kiedy dzieci kontaktują się osobiście z urzędami? To wbrew wszelkim zasadom!

Froese sięga po trzcinę i nakazuje Arthurowi opuścić spodnie. Za wysłanie listu wychowanek zostaje ukarany chłostą.

Legendy część czwarta

Zarzucił młodzian na plecy węzełek, wzuł buty i ruszył w świat, a jesień 1944 roku już krążyła po ziemi.

Arthur doszedł aż do piekarni przy Stifftswinkel 4, przy bramie stoczniowej w Danzigu, wyjął z kieszeni skierowanie i pokazał je piekarzowi Augustowi Nitschowi. Spojrzał piekarz na chudzinę i się zaśmiał: „Jak ty chcesz worki stukilowe z mąką na plecach nosić? Jak ty ciasto będziesz miesił, kiedy do tego potrzeba siły olbrzyma?”. Pawłowski, choć mu piętnasty rok szedł i do Hitlerjugend już mógłby wstąpić, wyglądem przypominał siedmioletniego pimpfa¹². Dobry był jednak z Augusta Nitscha człowiek (choć katolik) i przyjął Arthura na swojego ucznia. Kazał mu rozwozić chleb na rowerze po całym mieście, nawet do dzielnicy Oliva.

Miał piekarz żonę i dwie dorodne córki, miał kucharkę i niewolników – dwóch z Francji i jednego z Polski. Wszystkich traktował sprawiedliwie i zasiadał z nimi do obiadu. Głodu Pawłowski tam nie znał, chleba mu nigdy nie brakowało.

Raz do piekarni przyszli po Pawłowskiego urzędnicy. Był już w odpowiednim wieku, by iść na wojnę. Pod koniec 1944 roku Adolfowi Hitlerowi kończyli się żołnierze, a świata wciąż nie podbił, postanowił więc posłać do walki młodzieńców i starców. Nitsch udał jednak, że chłopaka nie zna, dzięki czemu nie musiał Arthur iść na wojnę i umrzeć jak inni.

Wiosną 1945 roku nadleciały nad Danzig samoloty i zrzuciły bomby na miasto. Pod koniec marca na ulice wjechały czołgi wroga – znakiem tego Führer przegrywał wojnę, którą sam wywołał. Między domy rozbiegli się żołnierze ze wschodu, których mowy nikt nie rozumiał. Bezwzględni i niebezpieczni. Palili domy, grabili mienie, gwałcili kobiety. Żeby się ukryć przed nimi, ludzie zeszli do piwnic i schronów.

Córki piekarza do piwnic nie schodziły, ale kiedy ich dom stanął w ogniu, przecięły sobie żyły na rękach i wybiegły na ulicę, ciągnąc za sobą wstęgi krwi. Arthur widział, jak jedna z nich płonie, a drugą, zemdloną, Sowietci ponieśli ze sobą.

W tym samym czasie jego brat Kurt położył sobie na ramieniu poduszkę, a na niej ciężki pancernaust. Na rozkaz dowódcy wyruszył naprzeciw czołgom. I tak zakończył życie.

Ewakuacja

Arthur Pawłowski opuszcza schron przy Stiftswinkel pod koniec marca 1945 roku. Jest głodny. Sowieci odkryli schowane pod podłogą piekarni zapasy mąki i całą zabrali z sobą. Piekarz Nitsch nie żyje, zmarł śmiercią naturalną pod koniec wojny, jego żona gdzieś zniknęła. Chłopak nie wie, co z sobą robić. Postanawia przedostać się do sierocińca w Olivie. Ma nadzieję, że znajdzie się tam miejsce dla dawnego wychowanka. Pamięta dobrze, gdzie kopcowano warzywa. Może uda mu się wykopać trochę rabarbaru?

Idzie szybko. Trzyma się granicy lasu z miastem. Po drodze wiesza czapkę na gałęzi jakiegoś drzewa, później to samo robi z zimową kurtką, dzień jest gorący, wiosenny. Po kilku godzinach dociera do Pelonkerweg 122.

Zastaje pusty dom.

W czerwcu 1949 roku wydawane w Lubece pismo „Mitteilungsblatt”, skierowane do gdańszczan wysiedlonych po wojnie do Niemiec, na przedostatniej stronie poinformuje: „Niektórych z naszych czytelników powinien zainteresować fakt, że duża część gdańskich sierot z sierocińca Pelonken znalazła nowy dom w Waisenhaus Rodensand, w pięknym Kellersee, niedaleko Eutin

w Szlezwiku-Holsztynie. Do tej pory mieszkają tam 92 sieroty w wieku od 8 do 15 lat, które ewakuowano w lutym 1945 roku z Pelonken do Malente, a później do Rodensand”¹³.

Odruch

Warszawa, koniec lat czterdziestych.

Junak Pawłowski maszeruje przez ulice miasta w kierunku Ochoty. Od trzech miesięcy, w kufajce i gumofilcach, odbudowuje polską stolicę.

Służba Polsce, do której go wcielono, to nowa, młodzieżowa organizacja. Ma pomagać w odbudowie kraju, ujarzmianiu Ziemi Odzyskanych i wychowywaniu młodzieży, przy jednoczesnym przeszkoleniu wojskowym. Istnieje od 1948 roku i strukturą przypomina radziecki Komsomoł. Rok później służy w niej już ponad milion chłopców i dziewcząt (kilkumiesięczna służba jest obowiązkowa, jednak uchylających się od stawiennictwa nie spotykają sankcje).

Arthur Pawłowski służy w brygadzie nadkontyngentowej – specjalnej jednostce SP dla wrogów klasowych. Wcielane są tu dzieci zamożnych rolników, bogatych kupców, przedwojennych urzędników, a także członkowie mniejszości narodowych – głównie niemieckiej i ukraińskiej. Dowództwo kieruje ich przeważnie do pracy w kopalniach węgla, kamieniołomach i zakładach wydobywania rud uranu, co w przyszłości wpłynie decydująco na długość (a raczej krótkość) ich życia.

Jednak Arthur miał szczęście, wysłano go do odbudowy Warszawy. Większość junaków w jego grupie to Niemcy, którzy tak jak on zostali po wojnie w Polsce. Żaden z nich nie zna dobrze języka polskiego. Jest zima, w gumofilcach trudno im się maszeruje. Z baraków przy Polu Mokotowskim, gdzie stacjonują, na Ochotę, gdzie

stawiają bloki wojskowe, droga wydaje się im daleka. Junacy co chwilę gubią rytm i psują szyk. Dowódca wydaje rozkaz swojej brygadzie:

– Czołooo! Śpieeeew!

Nagle pod warszawskie niebo płynie wspólne *Horst Wessel Lied* – ulubiona pieśń nazistów.

Artur Pawłowski tłumaczy: – To był odruch, wyrobiony w nas przez lata propagandy hitlerowskiej. Zresztą innych pieśni nie znaliśmy. A polskich to już wcale. Dowódca się wściekł. Kazał nam natychmiast przerwać i wydał komendę: „Padnij! Czołgaj się!”.

Braki

[Rekonstrukcja zdarzeń]

Poborowy Artur Pawłowski po półrocznej służbie w SP staje przed obliczem Wojskowej Komisji Rekrutacyjnej w Gdańsku. Jest rok 1949.

Komisja: – Poborowy jest Niemcem?

Poborowy: – *Nein*, Polakiem. Od niedawna całkiem mam *polnische* obywatelstwo.

Komisja: – Katolik?

Poborowy: – *Nein*, ewangelik.

Komisja: – Dlaczego poborowy tak słabo mówi po polsku? Nie chodził do polskiej szkoły?

Poborowy: – Po wojnie mnie posłano na kurs dla analfabetów. Kazali mi „abc” pisać i „1+1” dodawać. „Ja umiem pisać i czytać” – powiedziałem im. „Chcę się tutaj nauczyć polskiego”. Nakrzyczeli: „My tu nie uczymy polskiego, wynocha, już!”.

Komisja: – Poborowy pracuje?

Poborowy: – *Ja*. W 1945 roku zatrudniłem się u piekarza w Jelitkowie. Potem u kioskarza w Oliwie. Teraz robię w ogrodnictwie



Początek lat pięćdziesiątych. Starszy szeregowy Artur Pawłowski na poligonie. Krótko przed pójściem do wojska odnalazł matkę.

ośrodka wypoczynkowego Prezydium Rady Ministrów w Jelitkowie. A jak trzeba, to świnie też nakarmię. Mam tam własny pokój.

Komisja: – Poborowy ma braki w dokumentach. Imiona rodziców?

Poborowy: – *Ich weiss nicht*. Jestem sierotą.

Komisja: – W papierach stoi tylko, że poborowy urodził się w Głabitsch. To teraz polska wieś Głobica na Żuławach. Poborowy tam pojedzie, uzupełni braki i stawi się ponownie z metryką urodzenia.

Frau Polomski

Wysoki młody mężczyzna z gęstą czarną czupryną zaczesaną do tyłu, w kapelusiku i prochowcu, z teczką pod pachą, krąży po Głobicy.

W urzędzie w Stegnie, wsi, której Głobica podlega, powiedziano mu, że wszystkie niemieckie papiery, w tym jego metryka, spłonęły.

Artur Pawłowski: – Pomyślałem wtedy, że skoro już tam jestem, pójdę do Głobicy i będę chodził od domu do domu. Może spotkam kogoś, kto by pamiętał Pawłowskich? Może nie wszystkich ludzi sprzed wojny stamtąd wywieziono do Niemiec?

Młody człowiek w kapelusiku i prochowcu puka do drzwi ponemieckich domów.

– Nie podobało się to mieszkańcom. Po niemiecku do nich mówiłem, trochę po polsku. Może myśleli, że chcę ich wyrzucać z domów? Trzaskali mi drzwiami przed nosem. Ktoś nawet rzucił za mną kamieniem. Ale jakiś inny człowiek wskazał: „Tam mieszka pewna kobieta. Ona tu jest od przedwojny, Połomska się teraz nazywa. Ale kiedyś Polomski. Tam pan idź”.

Artur Pawłowski: – To była starsza pani. Zapytała mnie po niemiecku: „A jak ty się, chłopczyku, nazywasz?”. Ja do niej: „Ten chłopczyk

to Pawłowski Arthur”. Rzuciła mi się na szyję. „Jestem twoją matką chrestną! A twoi rodzice do niedawna mieszkali tam” – i wskazała na dom z czerwonej cegły. Zawołałem: „Jak to mieszkali?! Przecież nie żyją tyle lat”. „Ojciec twój, Erich, nie żyje, to prawda. Pracował w wojnę u bauera, który był w NSDAP. Rosjanie przyszli, nie mogli znaleźć gospodarza, więc zastrzelili w zamian twojego ojca. Ale twoja matka, Margarete, w 1946 wyjechała do Niemiec”. Spojrzała na mnie, bo zbłądłem. „Was było więcej” – nagle dodała. „Twoja matka szesnaścioro dzieci urodziła”. W szoku powiedziałem do niej: „To nie może być, frau Polomski, całe życie myślałem, że jestem sierotą”. Wtedy ona: „Dam ci adres do nich. Przecież ja piszę z twoją matką”.

„Idź już, synu”

„Jeśli, synu, chcesz do mnie przyjechać, nie mogę ci tego zabronić. Ale wiedz, że nie znajdziesz u mnie miejsca do spania, bo ciasno. Lepiej jakiś hotel przygotuj zawczasu” – Artur Pawłowski przytacza z pamięci słowa Margarete, swojej matki.

Pierwszy list posyła do niej zaraz po spotkaniu frau Polomski. *Mutti* odpisuje, że jest rada.

Artur pisze też do braci: Ottona, Brunona i Erwina, oraz sióstr: Eriki, Gerdy i Margi. Odpisują, że to wspaniale mieć go znów. Wysyłają mu swoje fotografie, z których widzi, że są jednej krwi. On im posyła swoje. Niektórzy składają mu wizytę w Polsce.

Artur Pawłowski od początku marzy, żeby odwiedzić wieś Büste, gdzie osiadła Margarete, ale nie jest to łatwe. Obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie ma, zdaniem władz, czego szukać w Niemieckiej Republice Demokratycznej i odmawiają mu pozwolenia na wyjazd.

Pawłowski pracuje w kotłowni w Gdańsku-Wrzeszczu, gdzie w paszczę sześciu kotłów sypie co dzień tony węgla. Wszystkie



Lato 2019 roku, Sopot. Artur Pawłowski: – Powiem słowo, od razu mówią: „Pan jesteś Niemiec”. „Gdańszczanin” – ja im na to odpowiadam.



Maj 1969 roku. Artur Pawłowski (pierwszy z lewej) w podróży wartburgiem do matki żyjącej w NRD. Nie widział jej od trzeciego roku życia.

niedziele stara się spędzać w parafii ewangelicko-augsburskiej, gdzie znalazł przyjaciół, rozmawia po niemiecku, pomaga remontować kościół w Sopocie i szykuje paczki dla ubogich parafian (za co w 2014 roku zostanie wyróżniony Nagrodą Diakonii Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP „Miłosierny Samarytanin”). Żeni się z Polką, na świat przychodzi troje ich dzieci. Te dziwią się mowie ojca, który utknął na granicy między językiem niemieckim i polskim. I nie rezygnuje z marzeń o poznaniu mamy.

Wreszcie przychodzi rok 1969. Artur Pawłowski dostaje zgodę na wyjazd. W garniturze, elegancko zaczesany wsiada do wartburga zaprzyjaźnionych Niemców z NRD, którzy przyjechali z wizytą do Polski, i jedzie na spotkanie ze swoją matką. Przepelnia go wzruszenie. Po raz ostatni widział ją, gdy miał trzy lata.

Chce jej zadać wiele pytań. Czy płakała, kiedy rozstawiała się ze swoimi synami? Czy przygotowała dzieciom coś na drogę, szarpała

urzędników za poły płaszczy, krzyczała za odjeżdżającym konnym wozem? Czy próbowała ich kiedykolwiek odnaleźć?

Legendy część ostatnia

Margarete Pawlowski jest niską, raczej tęgą kobietą w okularach. Wita syna w progu, prosi do kuchni, ale zastrzega:

– Nie mam cię czym poczęstować. Nawet kawy nie mam, tylko zbożową.

On jej odpowiada: – Może być, poproszę.

Siadają po dwóch stronach stołu. On wyjmuje kartkę i ołówek, ona dyktuje mu imiona wszystkich swoich córek i synów. Trzydzieści minut później Margarete mówi:

– Idź już, na noc cię przyjąć nie mogę.

Bolą go te słowa, ale żegna się i wychodzi.

Więcej się nie zobaczą. Wkrótce potem matka umiera, a syn musi żyć z pękniętym sercem.